

Oto Warszawa, stolica Polski,  
miasto, w którym się urodziłem  
i mieszkałem przez ponad 30 lat.

Około 20 lat temu,  
pracowałem tu jako dziennikarz

byłem reporterem  
w polskiej telewizji,

a moją twarz rozpoznawano  
w warszawskim tramwaju.

Będąc dziennikarzem w tym kraju,

powinienem być  
"inżynierem ludzkich dusz"

i tworzyć nowego,  
socjalistycznego człowieka.

Nie podjąłem wyzwania. Wyjechałem.

Teraz wspomnienia wracają.

Jedno z nich dotyczy Pałacu  
Kultury imienia Józefa Stalina.

Radzieckiego wkładu  
w urbanistyczny plan miasta,

który zwaliśmy "białym słoniem  
w koronkowych majteczkach".

Mieliśmy żyć tak,  
jak chciał "Wielki Brat",

ale nigdy do tego nie przywykliśmy.

Mówią, że ten kraj się rozpada,  
a ja sam widzę tego dowody.

Najpierw rząd obwinił  
strajki Solidarności, ale teraz,

bijąc się w pierś, przyznaje,  
że to socjalistyczna gospodarka,

prowadzona przez 43 lata,  
nie liczyła się z realiami.

"Przyznajemy, nawaliliśmy,"  
mówi partia, i zachęca ludzi,

aby sami zajęli się gospodarką,  
we własnym zakresie.

Sygnał SOS nadawany jest  
na Zachód: "ratujcie nasze dusze."

Wiejski rynek w sercu stolicy,

w którym i sprzedawcy i kupujący  
są absolwentami uniwersytetu

jest porażająco ironiczny.

Jak się zatem czuje  
polski kapitalizm?

Podczas zimnej wojny,

gdy McCarthy polował  
na komunistów w Ameryce,

polska milicja polowała  
na kapitalistów w Warszawie.

Z braku lepszych kandydatów,  
ja, wówczas 10 letni chłopiec,

zostałem aresztowany przed  
ambasadą USA, pod zarzutem

oglądania amerykańskiego  
filmu, który leciał w środoku.

40 lat później, brak wolności  
okazał się równie dotkliwy.

Jeden z przywódców Solidarności

staje przed sądem  
za wygłaszanie swoich poglądów.

Opowiedział zachodniej prasie,  
że podczas demonstracji majowej

milicja biła zwolenników  
Solidarności drewnianymi kijami.

"Na wyposażeniu milicji, nie ma  
takich instrumentów," twierdzi rząd,  
"używamy tylko gumowych."

Więc po pierwsze:  
czego używała milicja?

Powiedziałem, że stosowali  
również drewniane kije.

Ale oni twierdzą,  
że nie używali niczego.

Co druga osoba  
z tu obecnych to widziała.

Jako dowód pokazał  
zdjęcia milicjanta w cywilu,

trzymającego w ręku  
kij od transparentu.

Ale sąd nie przyjął  
zdjęć jako dowodu.

"To parodia sprawiedliwości,"  
rzuca pewna kobieta,

"nic tylko kłamstwa,  
niedobrze się człowiekowi robi."

To jest proces o  
kontaktowanie się z zachodnią prasą.

A ciebie ukarano właśnie za to?

Tak.

Z pozoru tylko  
chodzi o kłamstwa,

o to, że jeśli mówiłbyś  
prawdę nie sądzono by cię.

To bardzo możliwe,  
zgodnie z polskim prawem,

kto rozpowszechnia  
nawet prawdziwe informacje

dla wznieca niepokojów  
w społeczeństwie,

może stanąć przed sądem.

Dochodzę do wniosku,  
że Polsce potrzeba Gorbaczowa.

I postanawiam go odnaleźć.

Oto pierwszy kandydat.

Nazywa się Mieczysław Rakowski.

Ma 62 lata i doktorat z historii,

był negocjatorem rządu  
podczas rozmów z Solidarnością,

a później planował stan wojenny.

Codziennie przed pójściem do pracy  
w Komitecie Centralnym Partii,

gdzie kieruje działem propagandy,  
jego ochroniarz przywozi go tutaj

do pięciogwiazdkowego  
hotelu Inter-Continental

aby przepłynął dziesięć długości  
basenu dla pozostania w formie.

Za moich czasów,  
był redaktorem "Polityki",

tygodnika partyjnego,  
znanego z liberalnej linii.

Jednak jego działania  
dla zawieszenia Solidarności,

kosztowały go nie  
tylko reputację liberała,

ale i utratę rodziny.

Żona z dwójką synów  
wyjechała na Zachód.

Odkąd Gorbaczow  
doszedł do władzy w Rosji,

Rakowski jest zwolennikiem  
nowego liberalizmu w partii

i wielu widzi w nim  
następcę gen. Jaruzelskiego.

"Jestem tu aby ucłowieczyć  
komunistów," mówię na początek,

a on przytakuje.

Mam nad nim podwójną przewagę.

Po pierwsze -  
mamy wspólnych znajomych.

Po drugie,  
przyjechałem z Ameryki,

z miejsca, w którym  
chciałby być widoczny.

"Normalnie dziś wypada  
cotygodniowe zebranie

członków biura politycznego,  
ale w ramach nowej polityki

raz w miesiącu spotykamy się  
z robotnikami," opowiada Rakowski.

Proponuje mi wizytę  
w petrochemii nieopodal Warszawy.

Tak wygląda czterdziestomilionowy  
dług, jaki Polska ma wobec Zachodu

w wyniku budowania podobnych  
zakładów pod koniec lat 70'.

Przez stan wojenny,  
który zraził zachodnie banki,

zakłady cierpią na brak środków

na części zamienne,  
utrzymanie i remonty.

Polska gospodarka jest jak  
wąż pożerający własny ogon,

- pochłania więcej niż wytwarza.

W przeciwieństwie do  
większości zakładów w kraju,

ten nie przystąpił  
do strajku robotników.

Zatrudnia niewielką załogę  
wysoko wykwalifikowanych robotników,

zarabiających relatywnie dużo  
za obsługę drogich maszyn.

Rakowski wybrał bezpieczne  
miejsce na wizytę.

Typowa wizyta działaczy partyjnych

wygląda identycznie  
przed i po nastaniu Gorbaczowa.

Wybrani robotnicy,  
z szerokimi uśmiechami

odpowiadają na te same pytania.

- "Jak robota?"

- "W porządku."

- "Jakie macie problemy?"

- "Żadnych."

Ale od czasów Solidarności  
niektórzy robotnicy chcą sami mówić.

"A wasza żona pracuje, ile zarabia?"

"Jest nauczycielką.  
25 tysięcy złotych miesięcznie."

"Wychodzi razem 75 tysięcy

z twoją wypłatą," odgaduje Rakowski.

"Ile macie dzieci?"

"Trójkę."

"A ile dodatku na dziecko?"

"Dwa tysiące."

"To razem 81 tysięcy,"  
oblicza Rakowski,

"Nie wliczając premii, tak?"

"Zgadza się".

"A mieszkanie macie?"

"Oczywiście, 30 metrów  
na naszą piątkę."

"Wiążecie koniec z końcem?"

"Wystarcza na jedzenie  
i ubrania dla dzieci,

ale ciężko coś zaoszczędzić."

"Nie macie żadnych oszczędności?"

"Nie."

"Ale musicie mieć jakieś  
20-30 tysięcy?" naciska Rakowski.

"Nic podobnego. Nie mamy nic."

W drodze powrotnej zadaję  
Rakowskiemu nurtujące mnie pytanie:

Co by było z Solidarnością,  
jeśli Gorbaczow byłby u władzy w 81?

"Wszystko zależałoby od tego,  
czy Solidarność złagodziła by

swoją antysowiecką linię," odpowiada.

"Ale czy nie kierował wami strach?"

Czy nie zachowalibyście się inaczej mając poparcie liberalnego przywódcy z Moskwy?" pytam dalej.

"Oczywiście, że tak," odpowiada, "strach to kategoria polityczna."

"Więc istniała taka możliwość," podsumowuję, "że znaleźlibyście

jakieś rozwiązanie polityczne i uniknęli stanu wojennego."

"Myślę, że tak," zgadza się,

"Ale z drugiej strony, to pewien historyczny paradoks,

bo bez stanu wojennego w Polsce nie byłoby Gorbaczowa w Rosji."

"Problemem przed którym stoi zarówno Gorbaczow jak i my,"

opowiada Rakowski,

"jest jak przejść od starego kolektywizmu do indywidualizmu,

stanowiącego podstawę w waszym kapitalizmie."

"Niestety," przekonuje, "większość Polaków akceptuje kolektywizm,

bo w tym systemie nie trzeba brać odpowiedzialności za własne życie."

Jak na działacza, brzmi to cokolwiek heretycko.

I Rakowski o tym wie.

On i jego koledzy, zdają sobie sprawę,

że z przywódców radykalnych zmian mogą stać się celem.



A marionetkowym parlamencie  
wszystko po staremu.

Obradom przewodzi Rakowski,  
w imieniu partii.

Jadę z mężczyzną, który nie  
boi się radykalnych zmian.

Lech Zembrzuski był  
Polskim dyplomatą w Londynie,

który rzucił pracę, kupił BMW

i przyjechał do Warszawy  
by zostać kapitalistą "pierestrojki."

Wynajął chałupę na jakimś podwórku.

Od rządowej fabryki,  
odkupił dwie stare tokarki,

zatrudnił dwóch najlepszych  
operatorów podwajając ich zarobki.

Na zamówienie brytyjskiego klienta,

Lech produkuje przekładnie,  
używane w silnikach lotniczych.

Co sześć tygodni,  
wysyła mu osiem sztuk

o wartości 1200 dolarów.

Licząc wkrótce na większe zyski,  
Zembrzusczy chcą wybudować dom.

Lech, wraz z żoną Anną,  
odwiedzają kolejnego przedsiębiorcę,

który chce postawić ich dom.

Nazywa się Julian Lechowicz.

W młodości budował w Polsce domy,

dopóki wrogość władz  
wymierzona w prywatyzarzy

nie zmusiła go do wyjazdu.

Wyjechał do Springfield  
w stanie Massachusetts,

gdzie przez dwadzieścia lat  
budował drewniane domy.

Kiedy usłyszał o "pierestrojce",  
przekazał interesy synowi,

zabrał kilka katalogów  
i wrócił do Polski.

Teraz, chce wprowadzić nową  
technologię, wykorzystującą kantówkę,  
w kraju, gdzie brakuje mieszkań.

Julian planuje z rozmachem.

Opowiada swoim klientom,  
że projekty kolejnych 800 domów

są już gotowe, a transakcja  
kupna ziemi prawie sfinalizowana.

"Prawie?" martwi się Anna,  
"myśleliśmy, że już ją mamy!"

"Dajcie spokój," odpowiada  
weteran polskiego kapitalizmu,

"Wiadomo, że z taką biurokracją  
nic się nie da zrobić szybko."

Jak można w pół roku zbudować dom  
skoro drewno, którego  
jeszcze nie kupiliście,

schnie o wiele dłużej?" wypytuje.

"My amerykańanie, kochamy wyzwania  
i wiemy jak rozwiązywać problemy,"

odpowiada Julian i objaśnia  
kwestie szafek kuchennych.

"Oferuję dowolne kolory  
od ciemnych po jasne.

Jedynym kłopotem jest,

że ni jak nie pasują  
do radzieckich lodówek...

Bo te robią tylko  
w jednym kolorze."

Oto ziemia, na której chce budować.

Należy do wielu rolników,  
którzy dostali ją po reformie rolnej.

Ale skoro ziemię przekazało państwo,

sprzedaż osobom prywatnym  
była zabroniona, do niedawna.

W planie Juliana, 90 procent  
funduszy ma pochodzić od państwa,

które właśnie przyswaja sobie  
koncepcję kredytu hipotecznego.

"To która działka  
jest nasza?," pyta Anna.

"Będzie dokładnie między  
tą najwyższą brzozą po lewej,

a drugą krową po prawej."

Człowiekiem od teflonu  
jest w Polsce Marek Złotopolski.

Nie jest prezydentem,

to 33-letni chemik  
pracujący dla państwa,

który chce otworzyć własną  
produkcję teflonowych rurek,

na które jest w kraju  
duże zapotrzebowanie.

"Do niedawna, każdy kawałek

teflonu pochodził z importu,

a Polska technologia  
leżała na półce," tłumaczy.

Kupił właśnie opuszczoną fabrykę  
i mówi o niej "ziemia obiecana".

Wrócił z państwowej agencji do  
spraw prywatnych przedsiębiorców

i nie może uwierzyć  
w głupotę pracowników.

Opowiada współwłaścicielowi,  
który jest architektem,

że ich wspólny kontrakt  
nie został zaakceptowany.

"To jakiś absurd," mówi architekt.

Droga do kapitalizmu jest wyboista.

Samo słowo jest wciąż tabu.

Mówi się o tym "wolna inicjatywa

aby socjaliści mogli  
sobie przypisać te zasługi.

Marek zapłacił z własnych  
pieniędzy za ziemię i budynki.

Teraz oczekuje, że państwo da mu  
pożyczkę na rozpoczęcie produkcji.

Ale państwo wciąż się ociąga.

"Za rok," mówi, "wszystko tu  
będzie ładnie wykończone,

na ścianie duże logo firmy,  
samochody na parkingu, zobaczycie."

Odwiedzam kogoś, komu już się udało.

Były mistrz wyścigów samochodowych,  
zarobił pierwsze pieniądze

jako kierowca w fabryce Audi.

25 lat temu zainwestował, w bardzo wówczas ryzykowny, prywatny biznes.

Dziś, na fali pierestrojki,  
w samym środku pola,

Sobiesław Zasada  
rozbudowuje swoją firmę.

Buduje chłodnię na polskie truskawki  
czekające na transport do Niemiec.

"Jesteśmy pierwszymi, którzy  
sprowadzili tu technologię," mówi,

"trudno tu o wykwalifikowanych  
pracowników, bez względu na płace."

To jego zięć, dentysta, który  
pewnego dnia przyszedł i powiedział:

"W Polsce jest tylko jeden zakład  
produkujący protezy zębowe,

zaspokaja 15 procent popytu,  
a cała reszta pochodzi z importu.

Kupmy używane maszyny  
i produkujmy w Polsce akrylowe zęby."

Na początek pojechali  
do plajtującej niemieckiej fabryki

kupując tysiące protez,  
które teraz porządkują

z nadzieją, że sprzedadzą 5 tysięcy  
zestawów protetycznych w tym roku.

Tak więc część budynku została  
przekształcona w zakład protetyczny,

gdzie rozpocznie się produkcja,  
gdy tylko truskawki przyniosą zysk.

Nawet bardziej niż protez,  
brakowało w Polsce

dobrze działających  
zamek błyskawiczny...

Do czasu, kiedy  
zabrał się za nie Zasada,

tworząc na miejscu  
iście zachodnie środowisko pracy.

W obecnym klimacie gospodarczym,

kiedy ceny większości  
produktów przemysłowych uwolniono,

zamki Zasady pomagają rozpocząć  
nową inwestycję w owoce i warzywa,

umożliwiając otwarcie najczystszej  
i najlepiej zorganizowanej fabryki.

Nie tylko płaci pracownikom  
o wiele więcej niż państwo,

ale też oferuje im  
wyjątkowe świadczenia socjalne,

jak na przykład darmowa opieka  
dentystyczna w nowej klinice zięcia.

Jednak perłą w koronie jest  
niewielki, luksusowej klasy samochód

który produkuje  
dla wymagających klientów.

Trójkonne silniki  
z kosiarek do trawy

pochodzą z firmy  
Briggs&Stratton w Milwaukee,

plastikowa karoseria,  
farba i opony są z Niemiec,

tylko robocizna jest rodzima.

Sprzedaje ich dwa tysiące rocznie.

Jeśli zamówienie jest dla  
synka szejka z Arabii Saudyjskiej,

samochód kosztuje  
dwa tysiące dolarów.

Ale dla europejskich bachorów,  
kosztuje jedynie tysiąc za sztukę.

Zasada właśnie wrócił z Kalifornii,  
która może stać się nowym rynkiem.

Porsche jest oczywiście  
najbardziej chodliwą marką.

Pół godziny drogi od fabryki Zasady  
znajduje się huta imienia Lenina,

pomnik socjalistycznej gospodarki,  
wystawiony przez Rosjan w latach '50,

już wówczas przy użyciu  
technologii sprzed dekady.

Według wszelkich norm gospodarczych,  
ta zatrudniająca 16 tysięcy osób huta

powinna zostać zamknięta  
już długi czas temu.

Wytwarza najniższej jakości stal,  
której kiedyś potrzebowali Rosjanie,

ale dla obecnych zastosowań  
okazuje się ona być zbyt ciężka.

Maciej Szumowski, mój  
niegdysiejszy kolega z telewizji,

prowadzi mnie  
poprzez cmentarz przy hucie.

"Jak można pozbyć się  
tej patriotycznej huty,

o której pisaliśmy wiersze  
i piosenki przez ponad 40 lat?"

żartuje Maciej.

Rozmawiamy o  
katastrofalnym zanieczyszczeniu

jakie wytwarza ten przemysłowy potwór  
przekraczającym nieraz  
czterdziestokrotnie dopuszczalne normy.

"Śmierć jest tu wszechobecna.

Przychodzi prosto  
z powietrza," mówi Maciej

i tłumaczy oszczędności  
na rodzinnych pogrzebach.

"Grób na pięć osób,  
jedna trumna nad drugą,

to tutaj oznaka pozycji,

kosztuje ponad milion złotych,

to więcej niż średnie  
zarobki z dwóch lat,

ale i tak nic  
w porównaniu do mieszkania."

Maciej pokazuje mi filmy  
z ostatnich strajków w Hucie.

Niosą transparenty skandując:  
"Chcemy chleba i wolności."

"Takie protesty, zwykle  
doprowadzają partię do hysterii.

Tutaj działacze partyjni  
najpierw zapewniali robotników,

że będą z nimi negocjować,  
po czym zmienili zdanie

i w środku nocy  
wysłali grupę antyterrorystyczną."

Dzielę się z Maciejem  
opinią Rakowskiego o robotnikach  
rozpuszczonych przez kolektywizm.



"To oburzająco aroganckie," odpowiada

"szczególnie gdy pada z ust działacza partii, która mieni się robotniczą."

Wciąż to samo myślenie.

"Biurokraci nie są zadowoleni z robotników,

więc należy zmienić robotników.

Spółeczeństwu brak dyscypliny, zatem zmieńmy społeczeństwo.

A może partia powinna pozbyć się samej siebie,

skoro nie odpowiada ani robotnikom, ani społeczeństwu?"

Maciej wyjawia mi swoje radykalne rozwiązania.

Radzi mi zapomnieć tę bajkę o zielonym świetle dla kapitalizmu.

"Na razie oddali kilka kurników do prywatnego użytku," żartuje,

"często w ręce byłych szefów SB lub innych koleżków tych biurokratów.

To dlaczego nie oddadzą stoczni?"

"Ale kto by ją chciał?" pytam retorycznie i proponuję ją mu.

Jednak nie jest zainteresowany.

Sądzi, że zamiast tego należy zbudować coś innego

wierzy, że zachodni kapitał jest dla Polski jedyną drogą.

"Klienci się znajdują,

niech tylko państwo zamknie kilka deficytowych zakładów," nalega,

tylko że to pogrzebałoby i partię,  
a na to nie są jeszcze gotowi."

Emigracja to wyjście dla wielu.

Właściwie, jedna trzecia Polaków  
już mieszka za granicą.

Każdego ranka, około 1500 osób  
staje w kolejce do ambasady Niemiec.

tylko setka dostanie wizy.

O amerykańską wizę  
jest jeszcze trudniej,

tak mówi się w tłumie  
przed ambasadą U.S.A.

Wszyscy z nich  
to przyszli turyści,

którzy chcą zacząć pracę,  
gdy tylko znajdą się na miejscu.

Ale muszą przekonać Konsula,  
że na nic podobnego nie mają ochoty.

Zatem dowodem  
ich finansowej niezależności

są ładne ubrania, prawo jazdy,  
a czasem i zdjęcie domu sąsiada.

Powiadają, że raz widziano  
tu kogoś w smokingu.

"Z tak szacownym wyglądem,"  
pocieszam starszego jegomościa,

nikt nie będzie pana podejrzewał

że chciałby pan zamiatać podłogi  
w amerykańskim supermarkecie."

Grażyna Michalska też chce wyjechać.

Ma dwadzieścia lat i studiuje  
na uczelni rolniczej w Warszawie.

Jest częścią pokolenia,  
które mówi o sobie "bezdumni".

Mieszkając z rodzicami  
nigdy nie zarobią milionów złotych

potrzebnych do  
kupna własnego mieszkania,

a na lokal z przydziału  
trzeba czekać aż do 55 lat.

Grażyna i jej siostra bliźniaczka,  
Ania, mieszkają w małym pokoiku.

W drugim mieszkają rodzice,

kuchnia jest zbyt mała,  
by jeść w niej posiłki,

ale w Warszawie uchodzi to  
za mieszkanie o wysokim standardzie.

"A jeśli wszyscy wyjedziemy?"  
pyta siostra Grażyny,

"dla Polski byłaby to tragedia.  
Ale nie tracę nadziei," dodaje.

"Nie można z góry mówić,  
że wszystko się rozsypie."

"Bo się rozsypie,"  
odpowiada Grażyna.

Pokazuje mi ogródek działkowy,  
jaki państwo przyznało jej rodzicom,

w nagrodę za dobrą pracę.

Dziś, te właśnie działki,  
to jeden z najgorętszych towarów

na wolnym rynku.

Sto metrów kwadratowych  
ogródka warzywnego,

z maleńkim domkiem stanowią

równowartość rocznych poborów.

Ludzie nie tylko hodują  
owoce i warzywa na własny użytek,

ale często stają się rolnikami,  
sprzedając swoje produkty sąsiadom.

Rodzice Grażyny, oboje emeryci,

spędzają tu co najmniej  
sześć miesięcy w roku,

nazywając działkę  
swoją "oazą spokoju".

Nie mam żadnej nadziei, rozumiesz?

Jesteś smutna?

Tak. Nie mam nadziei  
ani perspektyw na przyszłość.

Nie chodzi tylko o gospodarkę.

A zatem o co?

Myślę, że trzeba  
czuć się dobrze wśród ludzi.

Ale co cię martwi?  
Rząd, ludzie dookoła?

Oni też.

Jedno i drugie?

Tak.

Co w rządzie cię martwi?

Mieszkając w tym kraju,  
nie czujesz się naprawdę wolnym,

nie możesz mówić tego,  
na co masz ochotę,

ani robić tego, co chcesz.

A co cię martwi

w ludziach, w przyjaciółach?

Nie chodzi tyle o przyjaciół,  
co o ludzi na ulicach,

są bardzo nerwowi,  
żyją w ciężkich warunkach,

dlatego są nerwowi  
i przez cały czas źli.

Ciężko się z nimi dogadać i żyć.

Warszawskie lotnisko.

Miejsce, gdzie sny o odlocie  
zменяją się w rzeczywistość.

Jest tu ktoś,  
kto to wszystko przeżył.

Nazywa się Olimpia.

Olimpia nie widziała  
swojej rodziny w Polsce od 8 lat.

Osiem lat temu,  
na długo przed Gorbaczowem,

ogłosiła swoją własną pierestrojkę  
i wyjechała do Stanów Zjednoczonych.

Przez ten czas nie widziała  
ślubu żadnego z jej synów,

narodzin jej dwóch wnuków,  
oraz swojego męża, Antoniego.

Znam ją z Chicago.

Po drugiej stronie ulicy,  
w sześciopokojowej rezydencji,

mieszkało małżeństwo prawników,

z dwójką małych dzieci  
i dwoma dużymi psami.

Olimpia była ich pokojówką.

Nadal sprząta, robi zakupy,  
gotuje i wozi dzieci do szkoły,

na basen, lodowisko, tańce  
i lekcje gry na skrzypcach.

W niedziele zwykle  
zapraszaliśmy ją do siebie,

aby porozmawiać trochę po polsku.

"Widzisz tego czerwonego Poloneza?  
To właśnie twój samochód."

Polonez to polski wóz,  
jeden z najlepszych.

Nawet rząd z nich korzysta.

To jeden z dwóch samochodów,  
jakie Olimpia kupiła synom,

za pieniądze zarobione w Ameryce.

Kupiła też każdemu mieszkanie.

Teraz, kawalkada  
złożona z dwóch samochodów,

wiezie ją do rodzinnego Białegostoku.

Osiem lat temu, sąsiad  
załatwił jej zaproszenie

od "amerykańskiego kuzyna."

Ta znana od pokoleń sztuczka,

to dla wielu Polaków  
sposób na wyjazd do Ameryki.

Była turystką przez  
pierwszych sześć miesięcy.

Przez następne siedem i pół roku  
musiała się ukrywać,

aż do czasu amnestii,  
ogłoszonej niedawno,

dzięki której dostała kartę pobytu  
i mogła powrócić do Polski.

"Dziękujemy za wszystko,  
co dla nas zrobiłaś,

za całą twoją pomoc,"  
wznosi toast syn, Tomasz.

"Mamy nadzieję, że twój urlop  
wypełnią miłe chwile z nami."

"Szkoda, że nie ma z nami  
reszty rodziny," mówi Olimpia.

Pozostali wciąż mieszkają na wsi.

Północno-wschodnia Polska  
znana jest ze swego piękna

i nieurodzajnej ziemi.

Po lewej mieszka  
jej jedyny żyjący brat,

wraz z żoną, dwiema córkami,  
zięciami i dwiema wnuczkami.

"Brat nie miał wyobraźni,  
kiedy stawiał ten dom,"

powiedziała pewnego razu  
Olimpia będąc w Chicago,

"za duża kuchnia, a za mało  
miejsca do spania dla 8 osób.

Mówiłam mu, że głupio dom buduje,

ale zamiast słuchać mnie,  
słuchał swojej żony.

Ale jak rolnik się uprze,  
to już nic nie poradzisz."

To jej bratanica, Ewa.

Jej bratowa.

Oraz jej 75-cio letni brat,

o którym sądzi, że ledwo ciągnie.

"A co mówi lekarz?" pyta Tomasz.

"Nic. Na to lekarstwa nie ma."

Gospodarstwo utrzymuje się  
z hodowli świń.

Te dwanaście prosiąt  
to ich jedyny dochód,

bo na ich 16 hektarach  
nic nie chce rosnać.

Dziś, mąż Ewy, Janek,  
który utrzymuje rodzinę

pracując jako kamieniarz  
na pobliskim cmentarzu,

wziął wolne i poszedł na ryby.

Tomasz ogłasza wszystkim,  
że przyjechała ciocia z Ameryki.

Jako doświadczona pokojówka,

Olimpia zarabia w Chicago  
300 dolarów tygodniowo.

Sto dolarów, które właśnie  
przekazała swojej bratanicy,

są na rynku warte  
183 tysiące złotych.

na pieniądze, które  
Olimpia zarabia w dwa dni,

jej brat musi pracować przez rok  
w gospodarstwie pod Białymstokiem.

"Dlaczego nie pocałujesz cioci?"  
Pyta swojego męża Ewa.

"Dajcie spokój," mówi Olimpia,

"za sto dolarów nie musicie  
mnie całować dziesięć razy."



Olimpia urodziła się  
w gospodarstwie na przeciwko.

Teraz mieszka tam  
wdowa po jej młodszym bracie

i jej bratanek Kazik,  
wraz z żoną i dzieckiem.

Na stole talerz ogórków,  
maślanka i ziemniaki.

Nazwa "mizéria"  
pochodzi od słowa "mizerny".

Bo jak ciężko by nie było,  
rolnika zawsze stać na mizerię.

Trzymając w ręku 50 dolarów,  
Olimpia strofuje bratanika:

"Mógłbyś wreszcie przestać pić,"  
prawi morały ciocia z Ameryki.

Ale Kazik wie, co odpowiedzieć.

"Ciężko nam się żyje,  
rolnik musi utopić smutki," mówi,

"Szkłanka czy dwie wódki  
i człowiek od razu jest weselszy."

"Może jestem starej daty,"  
mówi Olimpia do bratanicy,

"ale to przecież ciemnota,  
żeby tak ciepło ubierać dziecko."

"Patrzcie na nią, gada jakby  
była z Ameryki," odpowiada Ewa.

Olimpia demonstruje  
swoją angielski rodzinie,

prosząc mnie,  
abym był jej tłumaczem.

Mówi o ciężkim życiu w swojej wsi

i o tym, jak marzyła  
by wyjechać do miasta.

Do miasta ciągnął ją  
zapach pomarańczy.

"Dlaczego nie mieszkamy w mieście,  
gdzie można jeść pomarańcze?"

Brat Olimpii daje  
nam wykład z ekonomii.

"Kiedyś Żyd miał tu fabrykę,  
pracowało dla niego 300 ludzi,

a Żyd, jego córka i zięć,  
tylko ich troje, prowadziło interes.

Przyszli komuniści  
i zabrali im fabrykę.

Teraz dalej pracuje tam 300 ludzi,  
a wiecie ilu z nich to urzędnicy?

Stu pięćdziesięciu."

Nie znalazłem w Polsce Gorbaczowa,  
lecz znalazłem wyjątkową kobietę,  
której ciężka praca jest ważna.

Według statystyk, polskie Olimpie  
zarabiają więcej waluty  
niż państwo na eksporcie.

Przed odjazdem, Olimpia  
odwiedza przyjaciółkę, Danutę,

która również sprzątała  
mieszkania w Stanach,

po czym wróciła, przywożąc  
dwanaście sukien ślubnych,

które teraz wypożycza.

Ta młoda dziewczyna,  
to córka Danuty.

Za parę dni wychodzi za mąż.

"Wierzymy w każdą miłość i prawdę,  
wiedząc, że to tylko złudzenie."

Tak brzmi piosenka, którą  
Urszula ćwiczy przed ślubem.

"Mamy dość krzyków i zawodzeń  
nad naszym małym krajem,

wierzymy w byle co, by nie czuć."

Za dwa tygodnie,  
Olimpia wróci do Chicago.

Teraz, jej celem będzie  
wystarczająco długi pobyt,

który umożliwi jej uzyskanie zasiłku,

potem wróci już na dobre,  
pobierając je w złotówkach.

Przez całe życie była panią domu,

a ten dom to Polska.

Wersja polska:  
Krzysztof Kościuczuk